Rolnicy polscy, mali i wielcy — łączcie się!

Rok II. Kraków, dnia 27. Grudnia 1908 r. Nr. 52.



TYGODNIK ILUSTROWANY, ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ROLNIKÓW.

Wychodzi na niedzielę.

Przedpłata: Rocznie 4 korony, półrocznie 2 korony. Do Ameryki 2 dolary, do Niemiec 6 koron. **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Biuro dzienników J. Hopcasa i A. Salomonowej w Krakowie, ul. Sławkowska. — **Ogłoszenia** należy nadsyłać do p. Bolesława Jankowskiego w Krakowie, Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara, Rynek główny. — Cena ogłoszeń 20 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi (z wyjątkiem listów o prenumeratę): Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie, Rynek główny L. 8, I. piętro. — Numer pojedynczy 10 halerzy.

Z gwiazdką.

I oto nadeszło Święto Narodzenia Pańskiego.

W tym dniu tak uroczystym, wszyscy, bogaci czy ubodzy, starzy czy młodzi, zasiadamy do stołu i łamiemy się opłatkiem, składając sobie życzenia. Jak szeroką i długą jest ta nasza ukochana polska ziemia, wszędzie ten piękny, prastary obyczaj łączy przy sobie rodziny i przyjaciół. Składamy sobie nawzajem życzenia, aby nasze życie było pomyślnem i aby jaśniejsze chwile nam przynosiło. Czego ma życzyć Wam, Bracia Rolnicy, wasza gazetka-przyjaciółka? Z czem przychodzi do Was dzisiaj ten gość, który co tydzień niesie Wam nowiny z kraju i ze świata?

Życie ludzkie i życie narodu bardzo są do siebie podobne. Jeden i ten sam Bóg niem rządzi, jedno i to samo słonko obojgu świeci, jednakim biegiem zmieniają się w niem łzy i śmiech. Tylko życie jednostki liczy się na lata, życie narodu na wieki. Ta radość i ten smutek, które w życiu poszczególnego człowieka trwają jedną chwilę, — te same w życiu narodu trwają długie dziesiątki i setki lat.

Uśmiechało się nam, Polakom, życie przez wieki. Ale przyszły chwile ciemne i ponure. Przyszły takie straszne i groźne, że zdawało się, iż życie nasze skończone. Że grób otwarty, że naród nasz w nim spocznie.

Dziś widzimy, że to było złudzenie. Widzimy, że Łazarz powstał z łoża i zaczyna zdrowieć. Na-

ród nasz nie zginął. „Dzieweczka nie umarła, ale spi“ jak mówi Pismo święte. Żyjemy, przychodzimy do sił, rośniemy w moc. To, co się nam śmiercią wydawało, było tylko ciężką chorobą, która dziś zaczyna znikać. Życie narodów mierzy się na wieki, ich choroby także na wieki. Więc długośmy cierpieli i długo jeszcze cierpieć może nam przypadnie, nim życie zatryumfuje ostatecznie nad śmiercią, nim staniemy się znów wolnym narodem.

Bo prócz ucisku wrogów, który jak ciężka słabość wtłoczył się nam na piersi, mamy jeszcze do zwalczenia niejedną chorobę wewnętrzną, z którą parać się trzeba i mocować, aby ją zmódz. Te choroby: to nasze niedołęstwo, nasz brak hartu duszy i wytrwałości, a przedewszystkiem nasza niezgoda. To nam zwalczyć potrzeba, aby zdrowie osiągnąć.

Święto Bożego Narodzenia jest świętem zgody. W chwili, gdy Pan Nieba i Ziemi przychodzi na na świat, cichną wszystkie spory, łagodzą się waśni. a pojednany świat spieszy uklęknąć przy żłóbku w Betleemskiej stajence. Pamiętajmy o tem! A łamiąc się opłatkiem życzmy sobie nawzajem i wszystkim Polakom, wszystkim stanom, wszystkim zawodom, wszystkim, których wychowała i żywi ta Ziemia-Rodzicielka, życzmy im zgody i jedności. Ale niech to nie będzie zgoda w gnuśnem pobłażaniu wszystkiemu cokolwiek się dzieje, zgoda w patrzeniu przez palce na czyny niewłaściwe i dla Ojczyzny może fatalne, lecz zgoda w celu, do którego wszyscy dążymy, zgoda w energii działania, zgoda w użyciu tylko uczciwych i rozumnych środków.

W wyższym stopniu odnosi się to samo do nas, rolników. Długo szarpała nas niezgoda, długo walczyliśmy jedni z drugimi, długo, na uciechę wszystkim nam nie życzliwym, szarpali się i kłócili. Ustało to już w największej części. Zrozumieliśmy, że w jedności siła. Łączymy się, organizujemy do wspólnej pracy, do walki o byt.

Niechże ta zgoda, której hasło niosła ta Wasza gazetka od początku swego istnienia, której hasło dalej nieść będzie — niech ta zgoda przyjdzie Wam na pamięć w dniu uroczystym, gdy Pan Jezus schodzi na ziemię. Niech od tej zgody rolniczej wyjdzie zapoczątkowanie zgody całego narodu. Niech ona będzie ziarnem, z którego strzeli plon stokrotny. Tego życzymy Wam, Bracia Rolnicy, łamiąc się w duchu z Wami świątecznym opłatkiem.

A gdy zasiądziecie w kole rodzinnem, aby poweselić się świętem Narodzenia Pańskiego, gdy uklękniecie do modlitwy, niech serdeczne westchnienie wzleci z piersi Waszych do Boga: daj Panie Polsce zgodę! Niech anioł pokoju leci nad naszą krainą, niech skrzydłami swemi otula jednako dwory i chaty, wsie i miasta, a naród jednym chórem niech nuci pieśń jedności i mocy, pieśń, którą ongi chóry anielskie zwiastowały światu Narodzenie Pańskie:

Chwała na wysokości, a na ziemi
Pokój ludziom dobrej woli!

Redakcya.

Rolnicy łączą się.

Towarzystwo rolnicze w Tarnobrzegu.

Tarnobrzeg, 16 grudnia.

Życzenia ludności rolniczej pow. Tarnobrzeskiego, pragnącej mieć własne Tow. rolnicze, dziś się urzeczywistniły. Zebrani licznie włościanie ze wszystkich stron powiatu wspólnie z przedstawicielami duchowieństwa oraz inteligencyi rolniczej, w obecności reprezentanta rządu p. starosty Rydla, delegatów Tow. rolniczego krakowskiego p. Stanisława Konopki i Dra Raczyńskiego, oraz delegata Towarzystwa rolniczego okręgowego Mieleckiego p. Jana Rząckiego, uchwalili założenie nowej organizacyi rolniczej.

Przewodniczył prezes Rady pow. p. Zbigniew Horodyński, który z upoważnienia Komitetu Tow. rolniczego krakowskiego zebranie zwołał. Wyłuszczywszy w zagajeniu cel zebrania udzielił głosu Drowi Raczyńskiemu dla zreferowania statutu. W rozprawie nad statutem domagał się p. Kostheim przyłączenia powiatu Niskiego do Towarzystwa rolniczego okręgowego w Tarnobrzegu, p. Frankiewicz przemawiał za wyższymi wkładkami, słusznie wywodząc, że „tani członkowie“ nie będą doceniać doniosłości wspólnej pracy, p. Kaczak, p. Grzywacz i p. Jała wskazywali na poszczególne gałęzi działalności odłogiem dziś leżące, jak wyrugowanie pośrednictwa w handlu artykułami rolniczymi, poprawę pastwisk gminnych i podniesienie hodowli.

Po uchwaleniu statutu wybrano prezesem p. Z. Horodyńskiego ze Zbydniowa, zastępcą p. Jana Frankiewicza z Miechocina, do Wydziału zaś pp. Józefa Kasprzyckiego, Wojciecha Skowrońskiego z Chmielowa, Stanisława Kostheima z Zarzecza, księcia Jerzego Lubomirskiego z Rozwadowa, Antoniego Bielewicza, sekretarza Rady pow. w Tarnobrzegu, Inż. Jana Bochniaka z Tarnobrzegu, Rachmiela Kanarka ze Skowierzyna, Adama Grzywacza z Gorzyc, Jana Kaczaka z Dąbrowicy, Piotra Jałę z Mokrzyszowa, Dr. Józefa Kadena z Dzikowa, Romana Zagórskiego z Grębowa, Walerego Wryka z Wielowsi i Bronisława Korotyńskiego.

Nowemu towarzystwu złożył życzenia prezes Tow. rolniczego krakowskiego Zdzisław hr. Tarnowski, witając z radością powstanie nowego ogniwa organizacyi rolniczej, podnosząc w dłuższem przemówieniu doniosłość zadań Towarzystw rolniczych i zachęcając zebranych do usilnej i gorliwej

w niem pracy, która jest najważniejszym i niezbędnym warunkiem pomyślnego rozwoju młodego Towarzystwa, oraz podniesienia poszczególnych gospodarstw.

W sprawie organizacyi handlowej przemawiali pp. Raczyński, Bielewicz, Rychel, Korotyński i wielu innych, poczem zebranie poleciło Wydziałowi zająć się zorganizowaniem zbytu nierogacizny oraz handlu artykułami rolniczymi. Nowo wybrany Wydział odbył bezwłocznie pierwsze posiedzenie, poświęcone załatwieniu najpilniejszych spraw administracyjnych i organizacyjnych.

Czy będzie wojna?

Pisma miejskie napisały, że komendy korpusów zbierają składki na żołnierzy, którzy zostali wysłani do Bośni, a zbierają w tym celu, aby posłać im na gwiazdkę upominki, na znak, że w ojczyźnie pamiętają o nich. Dała na ten cel paręset koron i krakowska Rada miejska i zebrali też sporo ludzie dobrowolnymi datkami.

Chwałę Bogu, że przynajmniej wolno teraz napisać, iż żołnierze galicyjscy są w Bośni, bo o tem, że odeszli tam, pisać nie wolno było. Teraz gazety piszą nawet, że jest tam pułk trzynasty i w ogóle żołnierze „należący do pierwszego korpusu“. Niech im tam, biedakom, jak najweselej Święta przejdą, chociaż ciężkie to życie zdaleka od kraju!

Czy ci wszyscy żołnierze, którzy poszli na południowe kresy państwa, wrócą do domu bez walki — tego jeszcze dzisiaj przewidzieć nie podobna, można tylko powiedzieć, że na razie położenie bardzo się wyklarowało. Przedewszystkiem Austrya zgodziła się na konferencyę mocarstw w sprawie aneksyi Bośni i Hercegowiny. Na konferencyi tej będą omawiane sprawy, złączone z tą aneksyą, przedewszystkiem będzie omawiane odszkodowanie Turcyi za to. że Hercegowina i Bośnia przestały być pod jej władzą a na nich ciążyła przecież część długu państwowego Turcyi. Prawdopodobnem jest, że Austrya da Turcyi pewne odszkodowanie za to. Dalej będzie omawiana sprawa odszkodowania Serbii i Czarnogóry, które miały nadzieję, że kiedyś Bośnia i Hercegowina im przypadną. Poprostu kraiki te chcą przy sposobności coś uzyskać, a popiera je w tem Rosya, Anglia i Francya. Dla tego to, jak już pisaliśmy, Serbia i Czarnogóra tak śmiało groziły wojną, chociaż są takie małe.

Austrya postawiła za warunek, że konferencya mocarstw nie będzie dyskutowała, a tylko przyjmie do wiadomości to, co poprzednio uchwali się w układach między poszczególnemi państwami. Nie będzie to łatwem i kto wie, czy jeszcze nie przyjdzie do jakich zawikłań, na razie jednak, biorąc ogólnie, położenie się poprawiło i bezpośredniej obawy wojny niema.

Polskie Towarzystwo Emigracyjne.

Założone niedawno we Lwowie Towarzystwo Emigracyjne postanowiło przenieść swą siedzibę do Krakowa i rozpocząć z końcem stycznia r. 1909 swą działalność.

Dotychczasowy zarząd Towarzystwa ustąpił i w dniu 20 b. m. odbyło się w Krakowie w sali Rady powiatowej ogólne zgromadzenie członków pod przewodnictwem Dra Stefana Skrzyńskiego w celu dokonania wyboru nowej Rady nadzorczej. Po krótkiej naradzie wybrano jednomyślnie pp. Dra Franciszka Bujaka, Dra Bardla, Dra Alfreda Halbana, Cezara Hallera, Dra Jana Hupkę, Edmunda Klemensiewicza, Laskownickiego, Dra Józefa Raczyńskiego, Dra Tadeusza Starzewskiego, Jana Stapińskiego, Dra Stesłowicza, Szyszyłowicza, Dra Wróbla, Jana Wasunga i Franciszka Wójcika.

Nowo wybrana Rada nadzorcza odroczyła swoje ukonstytuowanie się i przedłożenie wniosków co do osób wybrać się mających trzech dyrektorów do następnego ogólnego zgromadzenia, które zwołano na 10 stycznia r. 1909 do Krakowa, poczem Towarzystwo będzie mogło rozpocząć swą działalność.

A pole działalności ma Towarzystwo przed sobą olbrzymie. Emigracya jest bowiem u nas jedyne z tych dwóch niczem niepowstrzymanych i żywiołowych wprost prądów, wymagających już od dawna, podobnie jak drugi tego rodzaju objaw t. j. parcelacya, jak najspieszniejszego uregulowania i nadania odpowiedniego, a naszym narodowym interesem wskazanego kierunku.

Prąd emigracyjny ogarnia u nas również około 300.000 ludzi i co rok ciągną rzesze rolnicze i robotnicze w bliższy lub dalszy świat po pracę, po zarobek, by potem wróciwszy do kraju, grunta za zarobione pieniądze kupować.

Ciągną rzesze i do niedalekich austryackich prowincyi i do Prus i do Niemiec, Danii, Szwecyi, Francyi, a ciągną też i dalej za morze.

I przynosi ten prąd krajowi i narodowi naszemu dużo dobrego, ale też i złego nie mało. Przynosi zatrudnienie i pracę dla tych, którzy jej jeszcze teraz w kraju nie znaleźli; płynie do kraju z zagranicznych zarobków wielka fala pieniędzy, płynie przyzwyczajenie się do pracy, doświadczenia i postęp na wielu polach.

Ale płyną też z tamtąd i złe rzeczy. Od Ostrawy morawskiej, z Prus i Niemiec powraca też do nas i demoralizacya straszna i zakażenie ciał chorobami, zakażenie dusz niewiarą. A przy tem ten prąd sezonowej emigracyi raz rozbudzony, nie zamyka się w granicach rzeczywistej potrzeby zarobku, lecz przekracza te granice bardzo już znacznie i porywa za sobą także dziesiątki tysięcy takich, co by w kraju znaleźli równie dobry a może i lepiej płatny zarobek. I dzieje się, że tysiące naszego robotnika pracuje w Prusiech na sławę, na potęgę i wzbogacenie się naszych największych wrogów, a w kraju rąk do pracy brakuje coraz bardziej, roboty publiczne, regulacye rzek i potoków, melioracye rolne idą ślimaczem tempem, bo nie ma robotnika mimo że 4 korony dziennie zarobić może każda silna i nie leniąca się w pracy para rąk.

Przez tę nadmierną emigracyę wywołany brak robotnika w kraju, nie może się też rozwinąć i nasze rolnictwo..

Wioski opustoszałe. Na opuszczonych przez zdolnych do pracy gospodarstwach chłopskich grzebią się jak mogą kobiety i całkiem małe dzieci i gospodarstwo upada. Na obszarach folwarcznych nie ma komu często ziemniaków lub buraków wykopać i ze szkodą nie tylko dla właścicieli, ale i dla kraju niszczeje chleb, marnieją plony.

Kraj przez ustawę o włościach rentowych dąży do utrzymania i wytworzenia większych gospodarstw chłopskich, a tu tymczasem musi to iść oporem, skoro takie właśnie większe chłopskie gospodarswa równie silnie jak folwarki odczuwają zwiększający się brak robotnika.

Zaradzić tej klęsce, starać się ująć ruch emigracyi zarobkowej w swe ręce i ograniczyć go do granic rzeczywistej potrzeby, wskazywać przedewszystkiem na możność znalezienia równie popłatnej jak za granicą pracy w kraju i dostarczać robotników przedewszystkiem krajowym pracodawcom i do robót publicznych w kraju, będzie pierwszem i najważniejszem zadaniem Towarzystwa emigracyjnego.

I dla spełnienia tych zadań, dążyć będzie Towarzystwo emigracyjne w ścisłej łączności i porozumieniu z krajowem biurem pośrednictwa pracy. Zadanie to jednak łatwem nie będzie i szybkich a pomyślnych wyników działalności w tym kierunku nie można się spodziewać.

Kilka lat czasu i wielkiej a umiejętnej pracy będzie tu potrzeba. Nie mamy dotychczas nawet w przybliżeniu dokładnej statystyki corocznego zapotrzebowania robotnika w kraju całym i w poszczególnych powiatach.

Nie mamy też wyobrażenia o ilości potrzebujących zarobku w każdej okolicy. Pracę w tym kierunku podjąć, odnośne cyfry zebrać i zestawić jest rzeczą krajowego biura pośrednictwa pracy. Nam się zdaje że n. p. obliczenie ilości robotników sezonowych potrzebnych dla intenzywniej prowadzonych gospodarstw w kraju, nie byłoby rzeczą tak trudną i że statystyka taka dla każdego powiatu może być w niedługim czasie gotową, a już to dałoby możność jakiej takiej oryentacyi. Nie trudno również obliczyć ilość robotników potrzebnych dla publicznych robót w kraju.

A gdy to będzie dokładnie wiadome, wtedy rozpocząć się będzie mogła działalność informacyjna i agitacyjna Towarzystwa emigracyjnego, polegająca na tem, by przez okólniki, przez liczne gazety i gazetki dla rolników wydawane, a znajdujące się pod wpływem stronnictw w Towarzystwie emigracyjnem współdziałających, informować ludność, gdzie i na jakich warunkach można w kraju równie dobry tak za granicą znaleść zarobek, i nawoływać, by swoi do swoich szli przedewszystkiem po pracę i zarobek, wskazywać korzyści zarobkowania w kraju zarówno moralne jak i pieniężne.

By jednak taka działalność agitacyjna mogła być jak najprędzej skuteczną, należy się starać, by zarobki w kraju mogły być wszędzie równie wydatne jak granicą, by coraz więcej było u nas intenzywnych gospodarstw mogących zatrudniać pewną ilość robotników stale przez 7 miesięczny sezon. W pomoc przyjść też musi celowa działalność kraju i państwa oraz naszych stowarzyszeń rolniczych. W pomoc też przyjść tu musi odpowiednie ustawodawstwo.

Wydanie ustawy o sezonowych robotnikach rolnych, lepsze uregulowanie pośrednictwa pracy oraz ściślejsze wykonanie ustawy o przymusie szkolnym w tym kierunku, by wzbronionem było wyjeżdżanie na zagraniczne zarobki dzieciom w wieku szkolnym t. j. do 16 roku życia, oto wymagania, jakie stawiamy w interesie kraju do krajowego ustawodawstwa i do administracyi.

Pośrednictwo pracy w kraju o wyżej określonym kierunku, będzie więc pierwszem, najważniejszem ale i najtrudniejszem zadaniem Towarzystwa emigracyjnego.

Łatwiej już pójdzie praca na innych polach, łatwiej już z tymi robotnikami, którzy czy to przez istotną niemożność znalezienia pracy w kraju, czy przez przyzwyczajenie i nie dający się pokonać upór, zechcą szukać zarobku za granicą.

Działalność Towarzystwa ograniczać się tu będzie do tego przedewszystkiem, by tym robotnikom wskazywać i dostarczać pracy i zarobku w tych krajach, gdzie zarobki największe a szkody dla duszy i ciała stosunkowo najmniejsze.

Więc przedewszystkiem wskazywać się będzie na Stany Zjednoczone północnej Ameryki w chwili, gdy stosunki zarobkowe doznają tam (jak się na to zanosi) znaczniejszej poprawy. — Zarobki amerykańskie bowiem dostarczały do niedawna krajowi najwięcej pieniędzy a najmniej szkód. Robotnik wracał ztamtąd przeważnie nie zdemoralizowany, owszem przywoził ze sobą większą obowiązkowość, poszanowanie cudzej własności, cześć dla pracy i inicyatywy i nie osłabioną wiarę w duszy, oraz wzmocnione narodowe poczucie.

Tym zaś robotnikom, którzy czy to z braku środków na daleką podróż, czy z innego powodu wychodzą tylko na sezonową robotę do europejskich krajów, wskazywać się będzie przedewszystkiem polskie dwory w Poznańskiem, a dalej Szwecyę, Danię i Francyę, a w ostateczności południowe Niemcy z wykluczeniem Prus, gdzie opieka nad polskim robotnikiem najbardziej utrudniona, zarobki najmniejsze, a sposobność do demoralizacyi bezwarunkowo największa.

Równorzędnie z wyszukiwaniem i dostarczaniem pracy w kraju i zagranicą, dążyć będzie Towarzystwo emigracyjne wszelkiemi siłami do tego, by wychodźców naszych zarówno w kraju jak i za granicą, od wyzysku ze strony rozmaitych powołanych i niepowołanych agentów ochronić i zarówno w podróży, jak i w czasie pobytu za granicą, gorliwą i ciągłą otaczać ich opieką. Dbać o zaspokojenie ich potrzeb religijnych, dbać o ich narodowe uświadomienie i o ich materyalne interesa i potrzeby.

Utworzenie też stałych i licznych swych organów za granicą, zarówno w Nowym Jorku i innych amerykańskich centrach, jak i w głównych ogniskach, skupiających robotników naszych w krajach europejskich, będzie zadaniem, do którego urzeczywistnienia dążyć będzie wytrwale Towarzystwo, w miarę sił i środków, naturalnie.

Mając niebawem rozpocząć swą działalność, liczy Towarzystwo emigracyjne na poparcie całego

naszego społeczeństwa. I licząc na to poparcie patrzy spokojnie w przyszłość z tą pewnością, że zarządowi danem będzie zdziałać dla kraju i dla jego ludności rolniczej wiele dobrego. Bo Towarzystwo potrafiło skupić w swoim zarządzie poważnych ludzi ze wszystkich stronnictw politycznych i rozmaitych zawodów, bo oparło się na jedynie zdrowej i racyonalnej podstawie zarobkowości połączonej z filantropią.

Nie mogło by się utrzymać żadne Towarzystwo emigracyjne, które by wyłącznie filantropijnem być chciało, bo umrzeć by musiało na suchoty, bezczynnem być z powodu braku środków do działania.

Nie mogło by się również utrzymać wyłącznie zarobkowe stowarzyszenie, bo takie st nęło by na równi z wszystkimi prywatnymi agentami i w pogoni za zyskiem utracić by wnet musiało zaufanie robotników i poparcie społeczeństwa.

Świeże do Krakowa przeniesione Polskie Towarzystwo Emigracyjne będzie i zarobkowem i filantropijnem zarazem, celem jednak zarobku będzie żywić filantropię jedynie. Towarzystwo będzie chciało zarabiać, będzie pobierało skromne prowizye od pracodawców i od sprzedaży kart okrętowych, lecz wszystkie swe zyski po pokryciu kosztów administracyi pozostałe, używać będzie na organizacyę filantropii dla robotników i wychodźców, na otoczenie ich jak najlepszą ochroną i opieką.

I dla tego Towarzystwo będzie mogło i umiało niezawodnie zdobyć sobie zaufanie ludności i poparcie społeczeństwa.

Pojednanie.

(Obrazek wigilijny).

Stary Jacenty nie wieczerzał wraz z córką i jej chłopem we świętą wiliję. Zaparł się w swojej izbie, co mu ją nieboszczka zapisała na dożywotek, pojadł ziemniaków, śledzi z kawałkiem chleba — a do nich za nic iść nie chciał.

— Ano, wilija chudobna, jak nikiej jeszcze — snuło mu się w myśli — ale do nich nie pójdę! Niech se ta brzuchy ładują moją krwawicą, com bez pięć dwadzieścia roków jak ten wół harował, dziewuchy po pierwszym chłopie wywianował, kasę do grajcara spłacił... A niech ta! We żniwa to chorą nieboszczkę do krzty przekabacili, u natareusza galanto przez mojej wiedzy zapis wyrychtowali, pary z gęby nie puszczający... Dopiero jak zapis był gotów: „Ociec, jedziewa do miasta!" „A wedle czego?" „Toli matka bardzo słabi, trza z majątkiem rozporządek zrobić". Pojechałem... Hej, jeszcze siwy mnie wiózł, mój ty mocny Boże, ostatni raz!

...Kiejby mnie kto bijakiem bez łeb zdzielił, tak mi było, skoro nam ten rozporządek u natareusza odczytali. Alem se pedział: nie, to nie, prosił się nie będę! Takeście mnie chytrze wyrychtowali — niechże i tak będzie! Pyta się natareusz: „Przystajecie na taki zapis: stajonko pola z ziarnem na zasiew i obrobieniem, trzy korce ziemniaków, trzy kopy kapusty na zimę i izba w dożywociu. Nie mało wam?" — „Ono tam po prawdzie duzo nie jest, ale niechże-ta: obstoję". — „A długoście na żoninem gospodarowali?" — „Hej, kielela czasu, pięć dwadzieścia roków" — odrzeknę.

...Ano, wiadomo, przyżenionym był. Nie stał na hipotece na moje imię ani jeden zagon. Ino ta praca na świętej ziemi bez tyla roków... Hej, mocny Boże!

W tem gruby głos zięcia przerwał Jacentemu gorzkie rozmyślania. Wawrzon wyszedł ze swojej izby i zawołał:

— Ociec! Ja wiela razy prosił was nie będę: idziecie do nas jak Pan Bóg przykazał, abo nie idziecie?

W Jacentym aż zawrzało.

— Jużem Rejnie, twojej babie pedział, com miał pedzieć — odkrzyknął — a ty się haw do mnie nie wrażaj!

— Aleście też harny — rety.

— Mówię ci, idź se od moich drzwi... Masz tera swoją izbę, gospodarstwo — to se na swojem siedź!

Młody chłop odszedł, trzasnąwszy ze złością drzwiami od swojej izby.

Stary Jacenty snuł dalej smutne rozmyślania:

...Wawrzon gospodarz, na całych dziesięciu morgach, na moich rolach... Będzie na wiosnę orał, siał, bronował... On mi dokumentnie za skórę zalazł, on, nie kto inny, Rejnę podmawiał, ona zaś nieboszczkę... Duchem już mu się rządzenia zachciewało! A godnie swoje rządy na gospodarstwie zaczął, nie ma co rzec!... Przehandlował siwego, com go od źrebięcia wychował, bez dziesięć roków nim robił, konisko dobre, nienarowiste...

...Hej, jak ten jancykryst pojechał do miasta w ten jarmarczny wtorek!... Słońce zachodzi, ogląda się — jego nie widać... Ściemniło się na piękne — nikogo... Rejna się markoci — łazi z kąta w kąt... Dopiero dobrze w noc słyszywa: zajeżdża, Wyzieram: rety! ino sam kasztan przy dyszlu! Kajże naręczny, siwy?! A mój Wawrzon nic... Ledwie z woza zlazł, taki ochlany był, ozór mu się plącze. cosi mamrota, roztrąca wszystkich i wali się na posłanie jak długi...

Tak się to on po mnie do gospodarki wzion...

* * *

O jakiejś godzinie Jacenty podniósł się z ławy, przecierając oczy. Nie wiedział, kiedy sen go zmorzył, ani jak długo spał. Lampka zgasła; widno było tylko co nieco z pola od śniegu przez okienko. Zimno go przejmowało. Postąpił na środek izby, z szerokim rozmachem zabił kilka razy ręce i zatarł dłonie.

Po chwili wyszedł. W izbie Wawrzonów było cicho, ale światło dobywało się ze szpary we drzwiach. Na świecie od śniegu bielusieńko, a od miesiąca widno, jak w dzień. Mróz parzył policzki i pokrywał wąsy białym szronem. Chociaż godzina była późna, wieś nie spała. Okienka chałup błyszczały, niby oczy otwarte i czuwające. Na gościńcu po skrzypiącym śniegu z rzadka puszczali się ludzie na Pasterkę. Wymijali Jacentego, zamieniając z nim krótkie: „Pochwalony" i szli dalej raźno gromadkami, rozmawiając wesoło.

Choć droga do kościoła była niedaleka, jakoś dłużyła się jakoś Jacentemu. Mróz chodził mu po kościach, nogi ciężyły, był jakiś dziwnie nie swój, jakby nie ten sam, co z wieczorą. Majaczyło mu

się, że teraz, gdy przysnął, miał jakiś osobliwy sen. Procesya — nie procesya... jakieś dzwonienie, musi być kościelne, żałośliwe, płaczące... On, Jacenty, niby gdzieś jechał, siwy go wiózł, ale cugli ani bata nie trzymał... Coby to zaś za jazda była...

Doszedł na koniec do kościoła. Główne drzwi wprost wielkiego ołtarza rozwarte były na rozcież, wielki ołtarz z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej rzęsiście oświetlony. Jaśniał też pająk na środku kościoła i świece na bocznych ołtarzach. Światło zdało się wylewać na zewnątrz; z głównych drzwi aż łuna biła na biały od śniegu cmentarz. Ale ludzi nie było jeszcze pełno; organy milczały; msza św. dopiero miała się zacząć.

Zdjął czapkę, wszedł i uklęknął opodal drzwi. Spojrzy na wielki ołtarz — aże go zamroczyło... Nawet Krzyża św. na piersiach nie dało mu zrobić... Cud boski, rety, czy przewidzenie?! Ale nie, widział wyraźnie: Najświętsza Panienka patrzy wprost na niego... Patrzy mu w same oczy surowo, jakby z ciężkim wyrzutem. Dotknął czołem podłogi, pocałował ją, wzniósł znowu oczy na ołtarz i zaczął wreszcie pacierz — a Najświętsza Panienka dalej patrzy swemi czarnemi oczyma tak jakoś srogo, aże mu ziąb idzie bez plecy...

...Nijak mi tak wyklęczeć — myśli Jacenty, cofa się i staje pod chórem.

...Jezu najsłodszy, a bez cóż to Najświętsza Panienka tak strasznie na mnie poziera? Czym juże taki kwardy grzesznik, abo co? Rety, adyć mszy świętej nie wydolę wysłuchać.

Naraz tknęła go nagła myśl, jak olśnienie. Już wie, czemu Najświętsza Panna tak na niego patrzy. Zaprawdę, zatwardziały z niego grzesznik, bo oto w zaciętym gniewie na Wawrzona i córkę Rejnę trwa już od pół roku — a dzisiaj w świętą wilię ciężko Pana Boga obraził, nie chcąc się z nimi pojednać...

Padł powtórnie na kolana i grzmotnął się w piersi.

— Moja wina, moja bardzo wielka wina!

Podniósł twarz. Najświętsza Panna już łagodniej patrzy na niego, jakby mówiąc:

— Tak Jacenty, ciężko zgrzeszyłeś gniewem i zaciętością. A Pan Jezus przecie łotrowi na krzyżu przebaczył i kazał miłować nieprzyjacioły. A ty, człowiek leciwy, któremu może rychło przed sądem boskim stanąć przyjdzie, zawziąłeś się na nich skroś tych doczesnych marności, skroś gospodarstwa, konia, roli, których kto wie, jak długo sądzono ci używać...

Jacenty kiwał głową, jakby potakując tym słowom, szeptanym mu wprost w duszę.

— A juści... bez com też taki był nieustępliwy, kiej jużem dobrze w latach i o miłosierdzie Pana Jezusowe naprzódzi mi stać, nie o marności świata... A moze już na bezrok godnich świąt nie doczkam, com spólnie śnimi do wilii nie siadł...

Podniósł się z klęczek i stanął, poglądając wilgotnemi oczyma ku wchodzącym. A ludzie szli, jakby rzeką, nawet sanki z głośnem dzwonieniem zajeżdżały z dalszych wsi parafialnych i coraz to nowe gromadki tłoczyły się do drzwi.

Wtem dojrzał wysoką postać zięcia Wawrzona; za nim szła Rejna. Gdy przepychali się w dość gęstej ciżbie koło niego, pociągnął córkę za chustkę.

— Rejna! Wawrzon! chodźcie ino haw...

Zatrzymali się. Bardzo zdziwieni patrzyli w milczeniu na starego. Wawrzon wzruszył wreszcie ramionami i już zaczął łokciami torować sobie drogę na kościół, gdy Jacenty się ozwał:

— Słuchajcie, co wam rzekę. Toli już od dzisiaj nie będziewa się wadzić w chałupie. Daruję wam moją krzywdę, ale i wy się zaś na mnie nie markoćcie, com bez tyla czasu taki był na was zawzięty... Tak mi Panie Jezu dospomóż!...

- *Edmund Zechenter.*

LEGENDA.

„Na zakręcie drogi prowadzącej do Morskiego Oka, zatrzymuje góral podróżnych i każe nadsłuchiwać pilnie. W istocie — wsłuchawszy się, słychać niby kucie trzech młotów w wielkiem oddaleniu. Spadek wód, odbijający się regularnie o skały, wydaje łoskot do kucia młotów podobny! Jest nawet, powiedziałbym, coś metalicznego w tym dźwięku. A gdy się zapyta górala: coby to było? — powiada, że: „Tam u Pięciu Stawów kują duchy koronę polską i cała jest już gotowa, brak jej tylko jednego kamienia, którego jeszcze nie znaleźli!" Dziwnie rozrzewnia to podanie serce prawego Polaka i Polki".

(Z dziełka: *Malowniczy opis Polski).*

„Polska korona jeszcze nie gotowa", brakuje jej jednego kamienia, którego znaleść nie można. Zapewne wielkiej wartości to kamień być musi, skoro go tak trudno na jaw wydobyć z ukrycia! Widocznie dawno zaginął i ukrył się tak dobrze, że długo trzeba będzie pył wieków odgrzebywać, nim ostatecznie wydobyty z ukrycia, zdolny będzie błyszczeć w królewskiej koronie, gdy ta Polsce na głowę włożoną zostanie. A jednak — była chwila, w której zdawało się, iż klejnot zaginiony, zapomniany — już — już ma być królewskiej koronie zwrócony, — a klejnot ten miał mieć napis: „Racławice"! Tymczasem burza szalona, grom po gromie, wichry północne, przeszkodziły dzieciom umieścić kamień w koronie swej matki...

Dziś burze minęły, a my żałobą okryci, usuwamy gruzy, którymi klejnot ów przywalono. Komuż to w udziale przypada lwia część owej pracy duchów w wyszukaniu zaginionego klejnotu? Zaiste pierwszeństwo i największy trud tej pracy należy się nam nauczycielom ludowym! Ów klejnot koronny zaginął w burzach dziejowych — zaginął, ale nie bezpowrotnie, przykryła go bowiem warstwa ciemnoty ludowej. Ręka, serce i głowa ludu mogą jedynie klejnot ów z ukrycia wydobyć i w królewskiej koronie osadzić.

Łączmy się zatem duchem z duchami legendy i wspólną pracą pomóżmy ludowi w odszukaniu zaginionego klejnotu. Uczmy i oświecajmy go, budźmy w nim poczucie swej godności, swych praw obywatelskich, przywiązania do ziemi rodzinnej, oraz pełną świadomość narodową. Nie upadajmy sami na duchu i nie dajmy ludowi upaść na duchu. Nie zrażajmy się pleśnią wiekową, jaka chaty wiosek naszych okrywa i rdzą historyi, która serce wieśniaka żreć poczęła. Naprzód! Naprzód! — a z wiarą w sercu naprzód! W mogiłach legniemy, a następcy nasi krocząc po nich, tem bliżsi będą celu...

Błyskawice burz szalejących niech nie tamują pracy, ale owszem ją oświetlają. Oświata ludu zdrowa, podnosząca lud z wiekowej ciemnoty, umoralniająca — oświata ludu jednocząca w sobie wszystkie stany i warstwy narodu we wspólnym, nierozerwalnym pierścieniu siły i ideałów narodowych, to klejnot ostatni w koronie matki, który odnaleść to — wspólny i święty nasz cel.

Ignacy Flis
Kierownik szkoły w Modlnicy.

Kraków, dnia 23 grudnia 1908 r.

Dla dzieci!

— Rady szkolne miejscowe, a Rady sieroce. —

Kotowa-wola d. 10 grudnia 1908.

I.

Samotna wśród pastwiska pod lasem, w brudno szarym, cośkolwiek tylko nad dziurawą strzechą sterczącym kominem niby stara opuszczona i sponiewierana cyganka rozsiadła się, jak godło ostatniej nędzy i niedbalstwa, chałupina chłopska. — Dwa czarne okienka zwrócone w dwie strony świata, nie błyszczące nawet pod działaniem wschodzącego lub za las kryjącego się słońca, spoglądają obojętnie na zieloną wiosnę, na wspaniale rozwinięte lato, na różnobarwną jesień i uroczą, białą zimę, —

Drzwi otwarte na oścież, ukazują zdala ciemny, bezdenny otwór niby czeluście okropne. — Obok domu niedbale złożona, jak ociężała ropucha, spoczywa na prost okna kopica siana. Z drugiej strony domu za sienią zapadła do połowy w ziemię, częściowo tylko nierówną strzechą pokryta szopa, to schronisko dla krowy! to stajnia. — Obok niej cztery wysokie słupy z daszkiem słomianym, z których jeden pochyliwszy się ku stajni, jakby podrwiwał z jej nizkości, to schowek na snopy - to stodoła. —

Zbliżmy się do tego przybytku nędzy i niedbalstwa! Przed domem kawałek spróchniętej żerdzi przywiązanej ostatkami zgrzebnej odzieży do dwóch kołków, to całe ogrodzenie obejścia; Za wyrąbanym do połowy progiem dół zaścielony drzazgami, słomą i śmieciem wszelakiem, to sień — to korytarz. —

Drzwi wchodowe wiszące na jednej zawiasie o tyle spełniają swe zadanie, gdy zamknięte, że bronią wejścia do wnętrza koniowi i krowie. Inna pomniejsza chudoba ma zawsze zabezpieczony wolny wchód i wychód.

Na lewo zobaczyć można drugie drzwi, równie jak pierwsze czarne, lecz całe. Za przyrząd do otwierania ich służy kawałek grubego powroza z guzami, przeciągniętego przez okrągły otwór jednej z desek. Gdy zań silnie pociągniesz, drzwi zatrzeszczą, zacharczą, zapiszczą, a zgrzytnąwszy wreszcie, otworzą się. —

Jeśli pozostaniesz dłużej w tym przybytku niechlujstwa, zobaczysz w jednym rogu ciemnej izby kilka desek spoczywających na czterech kółkach z garścią słomy i kawałkiem kożucha. To łoże, to legowisko dla kilku osób z rodziny. Drugie podobne legowisko ze starym rosyjskim płaszczem w drugim kącie izby. Poduszek i innych części pościeli ani śladu. — Za odrapanym piecem odziana w spodniczynie kobieta średniego wieku o zapadłej piersi, siedzi obok zestrzępionej opałki na brudnej ławie i obiera z łupin drobne ziemniaki. Rozglądnąwszy się lepiej, zobaczysz, jak pomiędzy okrągłe belki w ścianach światło słoneczne zagląda ciekawie jakby badało, czy przez zabrudzone szyby dostatecznie rozprasza ciemności.

— A gdzież wasz mąż?

— Dyć poszedł na łąkę z kosą, naprzeklinawszy poprzednio wszystkich i wszystko na świecie — dzieci zbił, zfukał i mnie dwa razy za plecy uwalił Jak przyjdzie z roboty powtórzy się to samo. Że by takie życie już raz się skończyło. Dzieci nie chcą nic także robić, ani słuchać, widać zapatrzyły się na „starego wilka“.

— Dlaczego nie oddacie starszych dzieci do służby? Ludzie dobrzy nauczyliby je chwalić Pana Boga, pracować, posłaliby czasem do kościoła, a może i do szkoły w porze zimowej!?

— Jakże dać do szkoły starszych, kiedy zarabiają we dworze po 30 centów dziennie i z tego żyjemy!?

— Przecież macie 3 morgi gruntu, żyć więc macie z czego!

— Żeby to było pole sprawione należycie i na czasie, toby nam chleba nie brakło, ale jak mój stary wtenczas sieje, jak inni żnąć myślą?!

Przez na pół przeźroczystą szybę widać, że słońce po dziennem utrudzeniu poczyna tracić swą zdrową i młodzieńczą cerę; że zbliżając do kresu swej podróży coraz więcej blednie i że wnet gdzieś za lasem legnie na spoczynek. Zamlaskało błoto na ścieżce przed domem — szczęknęła kosa o drzwi chaty, a wreszcie jęknęła, gdy ją po dziennym trudzie wieszano na belku.

Stęknęły, zatrzeszczały, zacharczały drzwi i otwarły się. W ich miejsce ukazała się postać ludzka rosła i barczysta. Na widok obcego na czarno ubranego człeka zawahał się chłop. Wejść do chaty czy nie?! Wreszcie rozpoznawszy swego wszedł; a zrzuciwszy wytartą kożuszynkę na żarna, w te odzywa się słowa.

— A to pan nauczyciel? Myślałem już, ze to jaki ze Steieramtu albo ze Starostwa przyszedł rabować! O! bo jak ja w domu, to tu żaden nic nie weźmie. Gdy tylko zobaczę, że się ku mnie wlecze, pozamykam drzwi, a on nałazi się kole chałupy, zagląda przez okna, drzwi i odchodzi.

— A wiecie wy co? Ja tu także darmo nie przyszedłem. Ja również chciałbym wam coś zabrać, tylko nie na zawsze! Ja chciałbym wasze trzy rzeczy codziennie widzieć, a po dokładnem ich oglądnięciu napowrót wam zwrócić. Zgadnijcie teraz, co takiego dla mnie miłego w domu swoim macie?

Po długiem myśleniu, przy pomocy rozumu połowicy wymiarkował chłop i mówi:

— Chyba nic innego tylko dzieci! — bo pan na nie łakomy jak żyd. Ja mam ich sześcioro i nie mogę sobie z nimi dać rady, a pan ma ich może ze sto i jeszcze na więcej waży!

Po długich targach, przedstawieniach i prośbach zgodził się wreszcie biedaczysko posyłać swe dzieci do szkoły, ale pod tym tylko warunkiem, że otrzymają za darmo wszelkie przybory oraz odzienie i buty na zimę.

Z przyborami sprawa łatwa, ale z odzieżą?

Dopóki mróz nie ściął tak błota, że wozy po niem skacząc przejeżdżają, dopóki śnieg nie przyodział grubą warstwą ziemi, te dziczki z pod lasu były codziennemi gośćmi w szkole. Gdy nadszedł czas, że boso tylko za próg można bezkarnie się wychylić, musiały biedactwa pozostać w domu, aby się wygrzewać na kominie lub piecu.

Na posiedzeniu Rady szkolnej miejscowej nauczyciel postawił wniosek, by za pieniądze ofiarne posprawiać tym nieszczęśliwym istotom potrzebne okrycie na zimę, a temsamem zniewolić je do dalszego uczęszczania do szkoły.

Uchwała byłaby zapadła pomyślna, gdyby nie jeden z członków Rady.

Bojkot turecki.



W porcie. (Patrz „Nasze ryciny").

Gdy on nie miał nic otrzymać z tych pieniędzy, pokierował tak sprawą, że inni członkowie z gminy poszli za jego hasłem i pieniądze z kar pochodzące postanowili obrócić na zupełnie inne potrzeby i wydatki.

Nie pomogły prośby i przedstawienia nauczyciela.

A co się dalej z dziećmi stało posłuchajmy!

Minęło lat kilka. Dzieci o których mowa powyrastały. Najmłodsze z nich liczy obecnie 12 lat. Dwóch najstarszych wyjechało za zarobkiem do Prus. Jeden z nich po 3-ch miesiącach wraca w rodzinne progi zchorowany, wynędzniały, pieszo o proszonym chlebie. Jako pełnoletni, dział 1 morg gruntu po matce odziedziczony, (bo kobieta o której mowa, to jest macocha) sprzedaje za 400 kor. na czem żyd zarabia drugie tyle.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KRONIKA.

Wszystkim współpracownikom, czytelnikom i przyjaciołom naszego pisma zasyła Redakcya *Roli* serdeczne życzenia Wesołych Świąt. Oby uroczystość Narodzenia Pańskiego wlała w serca wszystkich rolników dążenie do pokoju, miłości i zgody we wspólnem działaniu dla dobra Ojczyzny!

Ostatni czas odnowić przedpłatę, kto nie chce narazić się na wstrzymanie wysyłki naszego pisma. Kto złoży przed 14 stycznia 4 korony za cały rok 1909, ten otrzyma kalendarz *Roli* „Gospodarz" za darmo i opłatnie, tak, że nic go kosztować nie będzie.

Nasze ryciny. Jednym ze środków, którym Turcya zmusza Austryę do zgodzenia się na konferencyę mocarstw w sprawie aneksyi Bośni i Hercegowiny, był bojkot towarów austryackich w portach tureckich. Austrya, jak wiadomo, wywozi bardzo wiele towaru do Turcyi. Codziennie zajeżdżają do portów tureckich liczne statki, które wyładowują towary z Wiednia i innych miast monarchii. Nawet Galicya bierze w tem udział, np. fabryka farb do malowania, pod Krakowem, Karmańskiego, wywozi bardzo wiele towaru do Turcyi. Otóż urzędnicy tureccy postanowili nie wydawać z urzędów towaru austryackiego, który podlega cłu, lub przynajmniej robić jak największe trudności, aby kupcy otrzymywali go jak najpóźniej. Równocześnie utworzyły się komitety bojkotowe we wszystkich większych miastach. Komitety te rozesłały do kupców pogróżki, że jeżeli odważą się sprzedawać towar austryacki, będę spaleni i pozabijani. Innym powiedziano, że w razie oporu przeciw rozkazom komitetu, wykupi się ich weksle i wszystkie równocześnie zaprotestuje tak, że będą zrujnowani. W ogóle komitety nie szczędziły pogróżek i gwałtów. Równocześnie zaś utworzyły się związki tragarzy portowych i żeglarzy, jeżdżących łódkami po porcie. Z okrętów austryackich nikt nie chciał wynosić towaru i przywozić go na ląd. Z urzędu celnego nikt nie chciał go wziąć na furmankę i przewieźć do magazynu. Jednem słowem towary austryackie zostały zupełnie wykluczone z obiegu w Turcyi. Gdzieniegdzie nawet tłumy napadały na statki i niszczyły już wyładowany towar. Rycina nasza przedstawia chwilę, gdy na tragarzy, którzy zgodzili się wyładowywać statek austryacki, mają napaść tragarze zorganizowani, którzy nie pozwolą, aby towary austryackie znal zły się na lądzie.

Ogromne straty, jakie wskutek tego ponosił austryacki przemysł, spowodowały przemysłowców do wywarcia nacisku na rząd, aby wszedł w układy z Turcyą. Temu przedewszystkiem należy zawdzięczać, że pzzyjdzie do skutku konferencya mocarstw, na której omówioną będzie sprawa aneksyi.

W Wiedniu zabito tymi dniami w rzeźni miejskiej olbrzymiego wołu. Jest to okaz wystawowy, który wiele razy był premiowany na wystawach w Karlsbadzie i innych miastach czeskich. Wół ten, pochodzący z Czech północnych, które słyną dobrą gospodarką rolną i hodowlą bydła, miał dwa metry wysokości i ważył dziewięćset kilogramów z górą. Zakupił go pewien wiedeński rzeźnik i właśnie przed paru dniami zabił. Rycina nasza przedstawia ten niezwykły okaz. Obok stoi człowiek, dla porównania wysokości.

Podburzanie i kłamstwa. W numerze 50 „Ojczyzny" znaleźliśmy artykuł noszący wszelkie znamiona najnowszej taktyki lewego skrzydła wszechpolaków, polegający jak wiadomo na organizowaniu bezrolnych i małorolnych chłopów, oraz zarobników rolnych i czeladzi pod hasłem nienawiści klasowej do większych i średnich rolników. Celem tej niecnej roboty jest zakłócić i zerwać zgodę rolniczą, by potem łowić w zamąconej wodzie głosy przy wyborach.

Objawem tej samej taktyki jest zorganizowana nagonka na namiestnika we Lwowie i pokrywanie swej własnej, sankcyonowanej przez Głąbińskiego, Germana i Bataglię ustępliwości wobec rusinów, awanturami studenckimi i rzucaniem jaj na namiestnika. Objawem tej taktyki na wsi jest okłamywanie i podburzanie najmniejszych rolników, tak jak tu uczynił w podpisanym przez siebie artykule poseł Wiącek.

Poseł Wiącek wie dobrze, że nie było jeszcze dotąd nigdy tak wydatnej, tak porządnie i sprawiedliwie zorganizowanej akcyi zapomogowej, jak tegoroczna, zarządzona przez namiestnika Bobrzyńskiego. Wie dobrze, że dla małorolnych i najbiedniejszych było zboże do siewu i otręby na wykarmienie inwentarza, choć w małej ilości, całkiem za darmo.

Wie dobrze, że dla średnich t. j. kilku i kilkunastomorgowych było zboże w wielkiej ilości za bardzo tanią cenę, o pół tańszą niż obecna i że za 3 złr. 50 ct. i 4 złr. były dla tych rolników wielkie ilości otrąb żytnich i pszenicznych. Że były również odpadki soli.

Wie dobrze, że mniejsi obszarnicy t. j. 100 do 400 morgów, bardzo obdłużeni i tacy, u których na podstawie komisyonalnego badania stwierdzono zniszczenie $^2/_3$ ilości plonów, nie mieli ani daremnego ani tańszego zboża, ani otrąb, ani soli. Że jedyną pomocą, jaką dla nich przeznaczył namiestnik, były bezprocentowe pożyczki, bardzo niewielkie, które każdy z nich w przeciągn lat następnych oddać w całości musi.

Poseł Wiącek wie, że gdy się obliczy wartość tego, co otrzymali mali i średni rolnicy włościańscy, a sumę procentów, które by musieli zapłacić biedniejsi obszarnicy, gdyby im bezprocentowych pożyczek nie przyznano, to okazałoby się, że właśnie chłopi byli przy tej akcyi zapomogowej faworyzowani, a obszarnicy dostali w stosunku do szkód i potrzeby ratunku niestosunkowo mało.

Mimo to pisze poseł Wiącek: „Wielki namiestnik „Bobrzyński dostał od rządu 4 miliony zapomogi i do„stało się do każdej chałupy po 3 kilogramy zboża „zgniłego, więc z tego ma wyżyć 8 milionów ludzi „cały rok i pół miliona bydła, ale na wybory rząd „dał 3 miliony koron, a Galicya od 100 lat płaci po„datku samego po 250 miljonów koron rocznie".

Ile słów w tym ustępie, tyle kłamstw. Ani do każdej chałupy, ani po 3 kilogramy, ani zgniłego zboża nigdzie nikt nie widział. Ani na wybory żadnych 3 milionów nie było, ani wogóle żadnych pieniędzy rząd na ten cel nie dawał. Dawały może stronnictwa lub poszczególni ludzie, ale nie rząd. Ani też Galicya od 100 lat 250 milionów koron nie płaci. O tem wie każde dziecko. Kłamie więc poseł Wiącek, kłamie w celu podburzania. I jeżeli to się nazywa uczciwością, to my z takiej uczciwości nawet podogonia zrobić byśmy nie chcieli.

Posłowi Wiąckowi radzilibyśmy by lepiej swego Towarzystwa handlowo-rolniczego w Tarnobrzegu pilnował, by ludzie, którzy p. Wiąckowi zaufali, pieniędzy nie potracili.

Pomoc dla Świątniczan. Pisaliśmy już poprzednio, w jak ciężkiem położeniu znalazła się osada Świątniki, niegdyś kwitnąca dzięki wyrobowi kłódek i wyrobów żelaznych, Teraz stosunki się zmieniły, Świątniczanie dla rozlicznych a znanych czytelnikom *Roli* przyczyn podupadli i grozi im zupełna ruina. W tej ciężkiej chwili podano im rękę pomocną. Dnia 10 grudnia r. b. odbyło się w Świątnikach, na wezwanie stronnictwa Prawicy Narodowej z Krakowa i pod przewodnictwem delegata tegoż stronnictwa p. Konopki, zgromadzenie. Stronnictwo Prawicy Narodowej wezwało mianowicie rzemieślników świątnickich, aby zebrali się dla zbadania przyczyn upadku przemysłu świątnickiego i znalezienia jakiegoś wyjścia z fatalnego położenia. Jak rzadko licznie zgromadzeni producenci rozpoczęli pod przewodnictwem p. Konopki obrady. W dyskusyi stwierdzono, że źle oddziaływa na przemysł świątnicki konkurencya pruska i wsi okolicznych; zgodzono się również, że rzemieślnicy są niechętni nowszej technice, że szerzy się partactwo, że nie oszczędza się zarobku i t. d. Surowiec jest drogi, Świątniki zaś są zupełnie zaniedbane przez społeczeństwo. Jako środek zaradczy przyjęto: zamlenić dotychczasową spółkę handlową na wytwórczo-handlową, opartą na niewielkich wkładach. Spółka ta ma objąć wszystkich producentów także z okolicy, o ile stale zechcą się zajmować wyrobem kłódek. Postanowiono prosić odpowiednich posłów o poparcie i starać się o znaczniejszą subwencyę państwową lub kraju.

Spółka, posiadając poważny kapitał, zajmie się hurtownym zakupnem surowca. by go módz taniej sprzedawać producentom, postara się o zakupno maszyn, by nadać przemysłowi świątnickiemu przymioty przemysłu fabrycznego; założy magazyny, by módz nawet w czasie

Hodowla w Czechach.



Piękny okaz. (Patrz „Nasze ryciny").

stagnacyi produkt zakupywać, rozwinie szeroką działalność nie zapominając o misyi kulturalnej.

W tym celu wybrano komitet ściślejszy z p. Billym, dyrektorem tutejszej szkoły ślusarskiej na czele, który ma za zadanie opracować statut projektowanej spółki i zebrać wszystkich rzemieślników świątnickich celem rozpoczęcia akcyi i jak najrychlejszego zawiązania spółki.

Zgromadzeni wyraziwszy w jednomyślnie uchwalonej rezolucyi podziękowanie stronnictwu Prawicy Narodowej, w szczególności pp. Konopce i Woyczyńskiemu za życzliwe zajęcie się ich interesami i chęć poprawy stosunków przemysłowych w Świątnikach, opuścili salę obrad pełni nadziei, że i dla nich nastaną wreszcie lepsze czasy.

Oby nadzieja ta nie była płonną! Na tak szeroką skalę zakreślony plan, do wykonania potrzebuje prócz przewodnictwa ludzi fachowych i rzetelnych poważnych kapitałów. Czy nadzieja pomocy z zewnątrz nie zawiedzie — zobaczymy. Bądźcobądź jest to jedyna droga wyjścia dla Świątniczan.

Wakacye parlamentarne rozpoczęły się w ubiegłą sobotę. W ostatniej chwili Rada państwa uchwaliła gabinetowi urzędniczemu zarówno prowizoryum budżetowe, jak ustawę o traktacie handlowym z Serbią. Myślano, że wszystko się rozleci, rząd chciał odroczyć sesyę i nawet posłowie otrzymali już asygnaty na dziesiątki tylko do 22 grudnia, lecz gdy ostatecznie po wielu awanturach, uchwalono wszystko czego rząd chciał, Izba nie została wysłana na zieloną trawkę, tylko na wakacye i zbierze się prawdopodobnie z końcem stycznia. Panowie posłowie muszą wypocząć sobie po trudach i mają na to coś około miesiąca czasu.

Ostatecznie Izba uchwaliła wszystko dla rządu, nie dla ludu, choć nazywa się „ludową“. Bardzo to pięknie, że parlament załatwia konieczności państwowe, bo to jest jego obowiązkiem, ale nie obowiązkiem jedynym. Gdyby poprzedni, kuryalny parlament przyjechał do domu z tak marnym plonem, dopierożby była wrzawa, że „nic nie zrobił“. A czteroprzymiotnikowa Izba uważa to sobie jeszcze za wielki rarytas, że uchwaliła, czego rząd chciał, nic poza tem nie zrobiwszy. Po świętach mają zacząć się próby wprowadzenia gabinetu parlamentarnego, opartego na koalicyi wielkich stronnictw. Zobaczymy, jak się to uda, choć niczego dobrego się nie wróży. Jak dotychczas widać, że Izba będzie uchwalała rządowi, co on tylko zechce, gdyż znaczna większość posłów boi się, aby parlamentu nie rozwiązano i aby nie przyszły nowe wybory.

Straszna zbrodnia. W Paczołtowicach, niedaleko Krakowa, spełniono w sobotę okropną zbrodnię. Na karczmę niejakiego Färbera napadli w nocy zbrodniarze dotychczas nie wyśledzeni, zabili karczmarza, jego żonę i służącą. Policya śledzi energicznie za złoczyńcami, lecz dotychczas ich nie wykryto. Uciekli wraz z paruset koronami i z kosztownościami które zrabowali. Färber został zastrzelony z rewolweru, jego żona prócz paru strzałów otrzymała kilka ciosów siekierą, służącą zastrzelili łotry na miejscu.

Nieme wiece dalej odbywają się w Poznańskiem. Tymi dniami miano wybierać w Rynarzowie członka komisyi szkolnej miejscowej. Władze zapowiedziały, że obradować po polsku nie wolno. Wyborcy zeszli się, każdy powiedział nazwisko kandydata, następnie po zliczeniu głosów po cichu okazało się, że jeden został wybrany, przewodniczący wypisał to na tablicy, a zarazem dodał, również kredą na tablicy, kilka słów, aby wszyscy obecni pamiętali ten niemy wiec i tem więcej szanowali swą mowę ojczystą. Na sali był obecny burmistrz i żandarm, lecz wiece nieme już nie dadzą się zakazać. Sąd bowiem uwolnił jednego działacza polskiego, który zwołał taki wiec. Policya oskarżyła go o przekroczenie prawa o zgromadzeniach, lecz sąd uznał, że pisać po polsku na tablicy wolno, tylko mówić nie wolno.

Wilhelm II w gramofonie. W Berlinie opowiadają, że Wilhelm II wygłosił do gramofonu wielką mowę polityczną, ale pozwolił ją ogłosić dopiero po swojej śmierci. Zapewne, teraz już nie może tak rozprawiać, jak dawniej, odkąd parlament zajął się jego mowami i czynił mu wyrzuty.

NIPPON BANZAJ!*)

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW WOJNY ROSYJSKO-JAPOŃSKIEJ.

(68) (Dokończenie).

U drzwi stanęły szpalerem dwa rzędy uzbrojonych oberwańców; stojący w progu wykrzyknął jeszcze raz, potrząsając niecierpliwie mieczem.

— Dalej, gady, zbierajcie z gnoju swoje trupie ścierwa!

Za moment uchyliły się jedyne drzwi w głębi po przeciwnej stronie i wkroczył przez nie poważnie wysoki, imponujący mężczyzna w długim chińskim chałacie i w białej śpiczastej czapce, która dodawała mu jeszcze wzrostu. O krok za nim stanęli po bokach dwaj inni.

— Na kolana, niewolnicy! — wrzasnął, wywinąwszy mieczem, przewodnik, ten sam, który ich budził ze snu, — stoicie wobec pana uaszego, potężnego Tulej-shana!

Wysoki mężczyzna skinął na jednego z towarzyszy, który zaraz wystąpił naprzód i pytał po kolei dobrym rosyjskim akcentem.

— Twoje nazwisko?

— Kazimierz Tyszka.

Tulej-shan machnął ręką, i ze zdławionego jego gardła padł w nieznanym języku jakiś krótki rozkaz.

W mgnieniu oka przewodnik odskoczył od Tyszki i zaczął wypychać z izby więźni, którzy nie zostali jeszcze przesłuchani.

Tyszka pozostał sam oko w oko z Tulej-shanem.

— Jak było imię twej matki!

Tyszka stał przez moment, jak gromem rażony.

— Marya — odszepnął — Marya...

A Tulej-shan stał oparty plecami o ścianę, zakrył twarz rękami i płakał.

I naraz otworzył objęcia.

— Synu mój!

— Ojcze!...

Tulej-shan, dowódca bandy chunchuzów był ojcem Tyszki, który zbiegł z więzienia. Tyszka, Jokodama i inni zbiedzy byli uratowani!

*) „Niech żyje Japonia!“.

Do mety.

Armia generała Nogiego, olbrzymimi przemarszami zbliżała się do Kirinu. A na skrzydłach tej armii rwały lotne oddziały dzikich jeźdźców Tulejshana.

Odbywał się pościg na śmierć i życie. I przyznać należy, że cofające się korpusy rosyjskie tym razem, po raz pierwszy od początku wojny, okazały dużo niezmordowanego bohaterstwa... w nogach.

Okopowicz, Jokodama i młody Tyszka znaleźli się w jednym oddziale.

Było już pod wieczór. W pewnym momencie na skraju widnokręgu, za którego zrębem słońce zapadało, ukazały sie na widowni dwa jakoby czerwone ruchome ogniska. Ogniska te zbliżały się szybko i wkrótce można już było rozróżnić dwóch oblanych purpurową zachodu jeźdźców.

— Nasz podjazd! — mruknął Tyszka.

Wkrótce zrównali się z nadbiegającymi pędem, warstwą błota pokrytymi jeźdźcami. Zdarli obaj konia przed wodzem i zaczęli coś bełkotać gorączkowo, żywymi gestami wskazując jednocześnie poza siebie.

W powodzi niezrozumiałych gardlanych dźwięków wyłaniały się tylko wyrazy:

— Kazak... mnoga... Dragun... mnoga...

Tyszka machnął niecierpliwie ręką.

— Tłómacz! — krzyknął.

Z szeregów wyjechał Jokodama.

— Proszę ich wypytać, z czem przyjeżdżają!

Po krótkiej wymianie zdań Jokodama odraportował:

— Widzieli silny oddział rosyjskiej kawaleryi, także artyleryę polową. Prawdopodobnie przednie straże. Obliczają siły nieprzyjacielskie na dwa pułki, nie licząc artyleryi.

Ha, odparł Tyszka — w takim razie pozostaje nam jedno: przerżnąć się przez nich i naprzód do Kirinu. Tam jest nasz punkt zborny, tam musimy stanąć wcześniej od nich. Przypuszczam, że muszą gdzieś zatrzymać się niebawem na nocleg.

Poczem wydał krótki rozkaz:

— Patrole naprzód pokazywać drogę. Cały oddział szóstkami, broń w rękach, pełne pogotowie!

Okopowicz znalazł się znów w szeregu obok dawnych towarzyszy i skracał sobie czas bezlitośnem dogryzaniem Jokodamie.

— Co za idyota zrobił się z ciebie od pewnego czasu, Jok! Nic nie wie, co się dokoła niego dzieje, ogłupiały, zaspany — ot, wróciłbyś lepiej do swego Nipponu wylegiwać się pod pierzyną!

Jokodama zwrócił na niego mętne spojrzenia.

— Co mówisz?

Okopowicz rzucił się z pasyą w siodle.

— A co, nie mówiłem! Śpi, bestyja. Jedzie i śpi!

I pochylił się do samego ucha japończyka.

Mówię, żeś zgłupiał, jak stołowa noga! — krzyknął. — Czego ty śpisz wiecznie, o czem ty dumasz, co ty sobie myślisz!

Jokodama nie odwrócił nawet ku niemu twarzy, nie podniósł pochylonej głowy.

— Ja już swoje zrobiłem — szepnął głucho. — Więcej nie mogę.

— A cóżeś ty takiego nadzwyczajnego zrobił?

W zapadniętych, przygasłych oczach japończyka zalśniła naraz jasna błyskawica.

Uderzył się ręką w piersi.

— Ja zwyciężyłem pod Mukdenem! To nie marszałek Oyama rozgromił półmilionową armię rosyjską, nie Kuroki, Oku, Nodzu zabrali w niewolę sto tysięcy ludzi z pełną zbroją, ale ja, ja — Ozike Jokodama — wolnopraktykujący lekarz, syn właściciela statków rybackich w Hakodate.

Okopowicz spojrzał na niego dziwnie zaokrąglonemi oczyma, potem zakołysał się w siodle, parskając niepowstrzymanym śmiechem.

— Nie, wiesz, Jok, tyś nie całkiem jeszcze zgłupiał! Tyle czasu cię znam, lecz żebyś umiał być taki krotochwilny, tego dotąd nie widziałem! On zwyc...! Cha, cha, cha!...

Jokodama ujął go za ramię.

— Przyjacielu mój, nie śmiej się. Nie śmiej się z tego, czego nie rozumiesz, a czego wytłumaczyć ci ja nie jestem w stanie!

Mówił cicho, z dziwnie przejmującą powagą, a w głosie jego tyle było tak głębokiej i serdecznej prośby, że Okopowicz odrazu zamilknął i również spoważniał, uderzony nie jasnem przeczuciem czegoś niezwykłego, nadzmysłowego, co stoi ponad zrozumieniem i ponad brutalnem urąganiem.

I dawał wyraz nastrojowi, jaki go ogarnął, tylko głębokiemi spojrzeniami, któremi obrzucał dziwnie cichego, dziwnie smutnego, czy raczej skupionego w sobie japończyka.

Patrzał na niego tak, jakby go po raz pierwszy w życiu swem oglądał.

Tymczasem w miarę zbliżania się ku domniemanemu legowisku nieprzyjaciela, na cały tysiączny oddział zaczęło zapadać głuche oniemienie.

Jeden z przewodników wskazał w milczeniu ręką w dal przed siebie, gdzie tuż pod zaroślami widniał w porannych brzaskach rozbity tabor wojskowy.

Olkuski podniósł wysoko ponad głowę szablę.

— Marsz, marsz!!

Furknęły w powietrzu burki i poły mandżurskich chatatów, bryznęły z pod końskich kopyt bryły czarnego mandżurskiego błota. Cały oddział runął z góry, jak lawina ciężkich kamieni.

Silnem ściśnięciem kolan Olkuski wyrzucił swego rumaka naprzód, zabłysnął przed swymi szeregami szablą.

— Półkolem, półkolem! Szeroko zagarniać, a żywcem brać, nie przelewać krwi nadaremnie.

Już dobiegali.

Lecz naraz w tłoczących się bezradnie szeregach osaczonego nieprzyjaciela zaszła niespodziewana zmiana. Poznali snać, że to tylko z Chunchuzami mieli do czyniena.

I biała chorągiew padła na ziemię, natomiast między szarymi szynelami zabłysły w porannem słońcu stalowe lufy karabinów.

— Pal! — rozległa się krótka komenda.

W zbitym tłumie sołdatów wykwitły krótkie dymki z purpurowem osierdziem.

Strzały sypnęły prosto w pierś nadbiegających.

I, zataczając szeroko koło wzniesioną szablą, dał pierwszy nura pod konia Olkuski, za nim padło na ziemię kilku innych.

Ale Chunchuzi po chwilowem zmięszaniu szli jak wiatr. Atak był straszny. Moskale topnieli z każdą chwilą.

Tymczasem Okopowicz i Tyszka usiłowali ratować Olkuskiego.

Zwalony zdradziecką nieprzyjacielską kulą, która na wylot przeszyła mu klatkę piersiową, młody wódz odrazu stracił świadomość, oddawał młodą duszę wraz ze strugami buchającej przez usta i przez otwór w piersiach krwi.

Tyszka z początku rozerwał na nim kurtkę i koszulę, w braku bandaża przygotował kawał względnie czystej ścierki, w której woził z sobą narzędzia chirurgiczne.

Lecz gdy rzucił na ranę okiem znawcy — a miał sposobność nabrać wprawy przez czas praktyki w szpitalu mukdeńskim — wnet spochmurniał, przykrył z powrotem obnażoną, skrwawioną pierś młodzieńca i zaczął zbierać swoje narzędzia.

— Co?! — zapytał klęczący obok Okopowicz.

Tyszka wzruszył ramionami.

Okopowicz zerwał się z ziemi do leżącego wciąż bez ruchu Olkuskiego. Rozkrył mu znów mundur na piersiach, zaczął obcierać z krwi brzegi szerokiej na dłoń rany.

Może pod wpływem dotkliwego bólu, Olkuski odetchnął poruszeniem głowy dał mu do zrozumienia, by przybliżył ucho.

— W bocznej kieszeni surduta! — szepnął. — Wyjąć!...

Okopowicz sięgną ostrożnie ręką i wydobył związany sznurkiem pakiecik.

— Rozwinąć! — wyszeptał znów.

Okopowicz rozwiązał sznurek i kolejno dobył z pakieta pukiel czarnych włosów, małą emaliowaną miniaturkę i jakąś małą, gładko polerowaną kostkę z dziurkowanymi brzegami, przez które były przewleczone promienie równie czarnych, jedwabistych włosów.

Olkuski uważnie śledził oczyma tę czynność.

– Tę miniaturę i włosy zostawić. Tu z powrotem pod koszulę. A to... jej... matce...

Za chwilę wyprężył się, jęknął... dusza uleciała. Młody wódz nie żył.

Okopowicz zerwał się z ziemi, przypadł do stojącego w pewnem oddaleniu tyłem do tej całej sceny Tyszki.

— Już! — zachrypiał.

— Wiem! — odparł krótko Tyszka.

Okopowicz jak szalony rzucił się do swego konia. Właśnie w tej chwili bój, jak poderwany wichrem ciężki wał kurzu, zaczął z otwartego pola przewalać się w stronę zarośli.

W tym momencie na czoło wydarł się Okopowicz, za nim, porwany impetem przyjaciela, Tyszka.

Ci nie oglądali się, czy inni podążają za nimi. Niosła ich własna burza wewnętrzna, którą pragnęli tylko wyładować, choćby piersi pęknąć miały.

Lecz, nie dbając o to, porwali za sobą niepowstrzymanie i innych, jak chybki pęk wichru porywa lekkie liście.

Wpadli na armaty.

Szare moskiewskie szeregi zrozumiały, że zapóźno już uciekać, a prosić o pardon byłoby tylko nadaremnie drogi czas tracić.

I zawrzał bój...

Tyszka w impecie niemal pięścią o pierś uderzył w jakiegoś rosyjskiego oficera.

Tamten był również rozżarty, gotowy drogo sprzedać swoje życie.

Już obie prawice zmierzały się do ciosu... W ostatnim momencie rzucili jeszcze sobie wzajemnie w oczy pioruny spojrzeń, jakby właśnie każdy pragnął przez oczy tego drugiego na dno śmierci zajrzeć.

I nagle oficer z całej mocy zdarł konia wstecz, z ust jego wydarł się krótki, chrapliwy okrzyk dzikiej trwogi. Moment wpatrywał się w swego przeciwnika skamieniałem spojrzeniem, jakby widział coś, przechodzącego swą okropnością śmierć samą.

Trafiwszy wskutek gwałtownego ruchu przeciwnika w pustą przestrzeń zamiast w miękie ciało, Tyszka na moment stracił równowagę, i jeżeli w tej chwili wogóle mogło być miejsce na uczucie zdziwienia, to się zdziwił.

Z tem uczuciem spojrzał po raz wtóry na swego przeciwnika, i z jego piersi wyrwał się również okrzyk, okrzyk, w którym, jak w drobnym, lecz twardym krzemieniu, zsiadła się cała nieubłagana, wypełniająca piersi zawziętość.

— Zwierkow!...

Tamten już skręcił w miejscu konia, już bez opamiętania, jakby pragnąc uciec do przeznaczenia, gnał w step.

Lecz i ten drugi już pędził zanim, jak przeznaczenie.

Niebawem pole walki zostało daleko poza nimi, jeszcze chwila, a wszelkie odgłosy boju zamilkły w ciszy. Step tylko był dokoła nich, step pusty, zimny, nagi, a nad głowami zimne, obojętne słońce na zimnem, bladem niebie.

Uciekający miał konia znacznie świeższego. Był moment, że przestrzeń między jednym a drugim znacznie się zwiększyła.

Lecz ścigający zdawał się własny swój duch przelewać w swego wycieńczonego całonocnym marszem rumaka.

I naraz koń Zwierkowa zarwał się obu przedniemi nogami w zdradliwe mrówcze wydrążenisko, z całego impetu trzasnął nozdrzami w ziemię.

Jeździec magnął kozła w powietrzu, padł, aż ziemia jęknęła, za moment zerwał się, zaczął swego nieszczęsnego rumaka kopać z rozpaczą w brzuch nogami, kłuć w kark końcem szabli.

Lecz biedne zwierzę jęczało tylko i bezsilnie wspierało się mordą o ziemię, sącząc z nozdrzów gorącą posokę. Wówczas zwrócił się twarzą w stronę nadbiegającego przeciwnika. Nie dojeżdżając kilkunastu kroków, Tyszka wstrzymał się raptem, zeskoczył z konia.

Obaj postępowali teraz ku sobie, dziwnie powolnie, ociężale, a w grobowem milczeniu, jak dwa ponure sępy.

I z tą samą leniwą ociężałością ogarnęli się ramionami.

Bo jak na komendę, wszelką broń odrzucili obaj.

Na pięście odbyć się miała rozprawa, na zęby i na pazury.

I dopiero gdy jeden i drugi poczuł na twarzy oddech przeciwnika, a na żebrach uścisk jego ramion, raptem ożywili się obaj.

Z początku gnietli się tylko w stojących postawach, podnosili się naprzemian w powietrze i padali bez skutku na szereko rozkraczone nogi, jakby dopiero nabierając ferworu, jakby w nadziei załatwie-

nia się w krótkiej drodze przez złamanie przeciwnika w krzyżach.

W pewnym niespodzianym momencie któremuś powinęła się noga. Obaj rypnęli na ziemię, a rypnęli z takim rozmachem, że na moment się rozkleili.

Lecz prawie w tej samej chwili, prawie wcześniej, niż zdołał paść — każdy już zrywał się zbłyskawiczną skwapliwością, i znów w tej płochej nadziei, że zdoła powstać na jedno oka mgnienie wcześniej od przeciwnika, że wsiądzie mu na kark i weźmie pod siebie.

Razem wstali.

I teraz dopiero poszły w ruch zęby, pazury i pięście

Na wierzchu naprzemian bywał to jeden, to drugi.

I przy każdej takiej zmianie położenia ten, leżący chwilowo na wierzchu, sięgał do gardła przeciwnika, przy każdej zmianie ten leżący pod spodem szukał ręką kiszek i miękiego podbrzusza gniotącego go chwilowego zwycięzcy.

Niekiedy znów, jakby skutkiem cichego obustronnego porozumienia, zaprzestawali na pewien czas walki, odpoczywali.

Wówczas, objąwszy się tylko mocno ramionami, leżeli obok siebie, jak dwaj miłośnie zespoleni bracia, i tylko żar, wydychany z latających gorączkowo nozdrzów, wskazała na to, że nie miłość wypełniała ich piersi.

I znów jak podpalony proch, wybuchał zażarty bój, bój oślepły, dziki, straszliwy swą zapamiętałością.

Wreszcie Tyszce udało się wyłamać głowę wroga w tył, jednocześnie chwycił wypięte gardło.

Tamten zatrzepotał się, próbował pozbyć się dławienia.

I wnet zaczął stygnąć.

Tyszka wciąż jeszcze przytrzymywał drgającą przedśmiertnymi skurczami grdykę, W pewnym momencie przedśmiertny dreszcz, idący od stygnącego ciała przeciwnika, udzielił się i jemu, odrzucił go wstecz od trupa.

Ostatnim odblaskiem topniącego już w duszy ślepego, zwierzęcego rozwścieczenia, nastąpił pokonanemu wrogowi nogą na piersi, przycisnął trupa z dzikiem uczuciem radości.

Lecz jednocześnie i jemu samemu pociemniało w oczach od upływu krwi, obficie sączącej się z mnogich ran na ciele.

Zachwiał się, parę razy chwycił rękami powietrze, szukając oparcia, i wreszcie runął twarzą naprzód na ziemię obok zimnego już ciała Zwierkowa.

. . . .

W parę godzin później stado czarnych o stalowych dzióbach kruków, które szerokiem kołem zbliżały się już zwolna do dwóch nieruchomych leżących na polu ciał, zerwało się raptem i z wrzaskiem zaczęło krążyć nad żerowiskiem.

Nadciągał jakiś wielki oddział, składający się z konnych, z pieszych, a nawet ciągnący za sobą parę polowych armatek.

To był zwycięski oddział „chunchuzów“, zwiększony o całą liczbę tych, którzy świeżo przystali do jego szeregów. Zbliżyło się kilku jezdnych, poznali Tyszkę.

Jeden z nich obejrzał się zaraz za Okopowiczem.

— Panie, pan się za nim rozbijał!

Okopowicz podjechał pędem, zeskoczył z konia. Drżącemi rękami zaczął obmacywać przyjaciela, przyłożył ucho do jego serca.

— Kazik, kochany, Kazik!...

Tyszka drgnął zlekka, odetchnął rwącym się, jakby spętanym w gardle oddechem.

— Wódki mu wlać w zęby! — doradził ktoś z obecnych.

Wnet znalazła się manierka, rozchylono mu blade usta.

Przełknął, zakasztusił się gwałtownie i otworzył zdumione, jakby z tamtego świata oczy.

Przez chwilę wodził do koła zamglonym, nieprzytomnym wzrokiem. Potem spojrzał na leżące obok skrwawione ciało, przyglądał mu się uważnie, z natężeniem.

I naraz dreszcz grozy wykrzywił jego twarz, wysadził na wierzch oczy. Zrobił ruch, jakby się chciał zerwać, uciekać, potem jednak zakrył tylko twarz rękami, starając się z widocznym wysiłkiem pohamować idące przez ciało drżenie.

— Wódki! — wyszeptał wreszcie. — Wódki jeszcze!

Przytknięto mu do ust manierkę.

Zaczął pić chciwie, wypił całą jej dość pokaźną zawartość.

Jakoż istotnie pokrzepiony tęgim łykiem gorzałki Tyszka wstał, zupełnie przytomnie spojrzał na otaczających i uśmiechnął się do nich.

— Dziękuję, przyjaciele! Bez waszej pomocy zostałbym tu na uciechę hyenom i krukom. Ale ja na piechotę jeszcze, zdaje się, nie bardzo! Nie będzie tam dla mnie jakiego konia?

Znalazł sie bardzo prędko.

Tyszka wdrapał się na siodło bez niczyjej pomocy, i nie spojrzawszy nawet na martwe ciało, połączył się z resztą oddziału.

* * *

Historya naszego bohatera skończona. Pomściwszy ojca, matkę i siebie, nie wiele miał sposobności, aby w dalszych bitwach swe męstwo zaznaczyć, Po paru tygodniach ogłoszono zawieszenie broni, po niem pokój. Tyszka zrzuciwszy przebranie chunchuza, wrócił do kraju pod przybranem nazwiskiem.

Rosya dalej wiła się w kurczach rewolucyi i dalej szła ku swym przez losy wytkniętym celom. Na popiołach wykwitało nowe życie... A w zwycięskiej Japonii ziemia, jak gdyby użyźniona krwią swych synów zaśpiewała wkrótce pieśń wiosenną, pokrywając się kwieciem wiśniowem. Cała kraina stała się wielkim ogrodem, a usta i dusze dzielnego ludu śpiewały hymn zwycięstwa i potęgi:

Nippon banzaj!

KONIEC.

Amatorów fotografów prosimy, aby przysyłali nam zdjęcia, które będą w „Roli“ umieszczane i honorowane według umowy. Pożądany krótki tekst z opisem, co przedstawia fotografia. Najchętniej przyjmujemy wszystko, co się odnosi do rolnictwa i życia rolników.

Od Redakcyi.

Rola rozpoczyna z dniem 1 stycznia **trzeci rok** swego bytu.

Przez cały ten czas służyła wiernie sprawie rolniczej. Ktokolwiek ją czytał, wie, że szerzyła zgodę i jedność między rolnikami-braćmi, którzy jednym potem jedną i tęsamą matkę-ziemię oblewają, że przeciwdziałała szczuciu jednych na drugich i szerzeniu nienawiści. To była jej uczciwa, szczera, otwarta droga.

W treści starała się być zawsze ciekawą. Co się ważnego stało w Polsce, w kraju, w państwie, wszystko notowała i opisywała. *Rola* to pismo, z którego rolnik najwięcej się dowie tego, co prowadzi go do oświaty, do miłości Ojczyzny, do polepszenia swego bytu, do rozumnej pracy dla kraju i Polski.

Bracia rolnicy! Mieliście czas poznać *Rolę*. Przekonaliście się, że pracujemy tylko dla Waszego dobra. Dziękujemy Wam, że obdarzyliście nas zaufaniem. Liczba naszych czytelników wzrasta z dnia na dzień, a razem z nią wzrasta zastęp pracowników przejętych miłością Polski i dobrem ogółu, zastęp ludzi rozumiejących, co może znaczyć rolnik, jeśli siłę nadaje mu jedność i zgoda.

Każdy z Was niech przeto działa teraz, aby **przysporzyć „Roli“ nowych przyjaciół i czytelników.** Wiemy, że rok ten dla rolników ciężki, ale **cztery korony** na gazetkę, to nie ruina. Prenumerujcie i rozszerzajcie *Rolę*, która jest Waszym organem. Niech nie zbraknie jej nigdzie, gdzie biją polskie serca i pracuje dłoń rolnika.

Nadto wszyscy abonenci, którzy nadeszlą 4 korony na r. 1909 **do dnia 15 stycznia najpóźniej,** otrzymają **zupełnie bezpłatnie** z opłaconą pocztą, bez żadnych kosztów

prześliczny Kalendarz „Gospodarz“
na rok 1909.

Kalendarz ma półtrzeciej setki stron ciekawych i potrzebnych wiadomości i informacyj. Wspaniała ta książka jest cennym podręcznikiem dla rolnika. Prenumeratorzy *Roli* otrzymują go **zupełnie za darmo.**

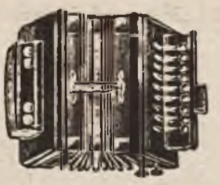
Rola będzie wychodziła przez cały rok 1909 w dotychczasowym formacie i objętości. Będzie podawała nadal ciekawe ilustracye i ryciny.

Rolnicy! Jednajcie nowych prenumeratorów! Czytajcie i rozszerzajcie Wasz organ, *Rolę*.

Redakcya „Roli“.

Przekazy pocztowe z prenumeratą trzeba nadsyłać pod adresem: **Biuro dzienników J. Hopcasa i A. Salomonowej, Kraków, ul. Sławkowska.**

Na przekazie wyraźnie pisać nazwisko i adres, dodając, że pieniądze są przeznaczone na *Rolę*.



F. Pamm, Kraków, Zielona 3-200

Harmonika z 8-ma klawiszami, pięknie wykonana kor. 4·90, w dużym formacie z 10-ma klawiszami i 2 ma rejestrami kor. 7, z 3-ma rejestrami i klawisze z perłowej macicy kor. 9·60.

WAŻNE

dla włościan, dla przedsiębiorców, dla obszarów dworskich.

Ceglarki najnowsze Model 1908,

do wyrobu cegieł pełnych i pustych wielkości 25×12×6 1/7

poleca:

Henryk Arlt Dom dla Handlu i Przemysłu Chrzanów

Największe przedsiębiorstwo dla budowy i dostawy **maszyn do wyrobu cementowych dachówek, cegieł i t. p.** oraz najlepszych **ogniotrwałych farb i oliwy.**

Prośba. Dla uniknięcia zwłoki i pomyłek uprasza się adresować listy i posyłki tylko **Henryk Arlt Chrzanów.**

HURTOWNY

SKŁAD WIN

POD FIRMĄ

J. FEDEROWICZ

W KRAKOWIE.

Własne winnice i piwnice w Tolesvi pod Tokajem. Składy win w Krakowie, Rzeszowie, Bochni, Wieliczce i Tarnobrzegu.

Eksport win dla Kółek rolniczych i sklepów wiejskich.

Cenniki i próby win na żądanie odwrotną pocztą franco. 15—0

Magazyn i Kantor w Krakowie, ul. Szczepańska Nr. 3.

F. Pamm

Kraków, Zielona 3-200



Męski ankr. remontoir z portretem Kościuszki, Mickiewicza lub z godłem polskiem, bardzo dobrze idący, na minutę wyregulowany kor. 3·90. Na żądanie wysyłam darmo i opłatnie katalog ilustrowany zegarów, zegarków, wyrobów jubilerskich z chińskiego srebra, przyborów i narzędzi zegarmistrzowskich i towarów muzycznych. 1-12

F. Pamm
Kraków, Zielona 3-200

Syndykat Towarzystw rolniczych

Telefon 637. **w Krakowie, (Hotel Centralny)** Telefon 637.

Stowarzyszenie zajestrowane z ograniczoną poręką.

Pierwsza kraj. instytucya handlowo-rolnicza współdzielcza. Wszystkie zyski z końcem roku po zaopatrzeniu funduszu rezerwowego rozdzielone będą między członków w stosunku do udziałów i dokonanych zakupów.

Jeden udział wynosi 100 Koron.

NAJLEPSZE ŹRÓDŁO ZAKUPNA:

MĄCZKI ŻUŹLOWEJ THOMASA, SUPERFOSFATÓW, MĄKI KOSTNEJ, SALETRY CHILIJSKIEJ, SOLI POTASOWEJ I WSZELKICH INNYCH NAWOZÓW SZTUCZNYCH

pod zupełną gwarancyą zawartości składników według norm c. k. Zakładu rolniczego doświadczalnego w Krakowie i Stacyi doświadczalnej w Dublanach.

Składy w Szczecinie, Koźlu, Oświęcimiu i Krakowie.

WYBOROWE NASIONA:

koniczyny czerwonej, szwedzkiej, białej, lucerny, wszelkich traw i nasion gospodarczych, o najwyższej wartości użytkowej, pod plombą Stacyi doświadczalnej z gwarancyą pochodzenia i braku kanianki.

Zboże do zasiewu z pierwszorzędnych produkcyi krajowych i zagranicznych.

MASZYNY i NARZĘDZIA ROLNICZE

z pierwszorzędnych fabryk amerykańskich, angielskich i kontynentalnych. — Części rezerwowe na składzie. 3 monterów stale zatrudnionych. — Na wystawie w Tarnopolu 1905 I. nagroda złoty medal, na wystawie w Nowym Sączu 1905 dyplom honorowy.

PASZE SKONCENTROWANE

jakoto: makuchy, kiełki słodowe, otręby, mąka czerwona (omiecica) i t. p. z fabryk i młynów wschodnio- i zachodnio-galicyjskich.

WĘGIEL

kamienny śląski, z Królestwa Polskiego i krajowy dla gorzelń, fabryk i opału domowggo po cenach en gros. Reprezentacya kopalni „Paryż“ (Dąbrowa górnicza).

OLEJE i SMARY,

pasy, węże gumowe i parciane, worki, płachty rzepakowe i nieprzemakalne i t. p. i inne artykuły gospodarcze.

Komisowa sprzedaż zboża i spirytusu na podstawie zaliczek z góry udzielanych.

Cenniki, oferty, kosztorysy na żądanie darmo i opłatnie.

Adres telegraficzny: SYNDYKAT KRAKÓW.

Adres telegraficzny: SYNDYKAT KRAKÓW.

Bank Ziemski
w Łańcucie

zaleca kupno gruntów w następujących majątkach:

ŁUŻNA

wieś w powiecie Gorlice, oddalona o 1 km. od stacyi kolejowej Wola łużańska. W Łużnej znajduje się kościół parafialny, szkoła i posterunek żandarmeryi. Do nabycia są grunta orne, łąki i las. Grunta orne przeważnie drenowane, na których udają się wszelkie gatunki zboża i roślin okopowych. Cena za grunta orne i łąki od 1000 K. za morg, cena za las począwszy od 300 K. za mórg. W lasach Łużnej znajduje się również budulec.

Zgłozzenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie, na miejscu udziela wyjaśnień zarządca gospodarczy, a delegat Banku uprawniony do sprzedaży gruntów i odbioru pieniędzy przyjeżdża we wtorek każdego tygodnia do Łużnej.

MOŚCISKA MIASTO

Stacya kolejowa oddalona o 4 kilometry, a w miejscu: starostwo, rada powiatowa, sąd powiatowy, urząd podatkowy, pocztowy i telegraficzny, dwa kościoły rzymsko-katolickie i szkoły polskie.

Gleba pszenna pierwszorzędej jakości. Do nabycia grunta orne, położone przy samem mieście dwukośne łąki i place budowlane. Zgłoszenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie.

Ponieważ dzierżawa Mościsk kończy się w roku przyszłym, dlatego sprzedane grunta dopiero w marcu i czerwcu 1909 r. Bank będzie oddawać nabywcom. Zasiewy zimowe i wiosene zostaną uskutecznione.

OLESZA i SAWAŁUSKI

majętności położone w powiecie buczackim, a oddalone o 9 km. od stacyi kolejowej Monasterzyska. Do Oleszy przylega wieś Kowalówka gdzie znajduje się kościół rzymsko-katolicki i szkoła polska.

Gleba pierwszórzędny czarnoziem, nabyć można pola orne łąki i lasy po cenie 700 do 1000 K. za mórg.

Zgłoszenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie a delegat Banku na miejscu we dworze.

OTTYNIA MIASTO

w miejscu: stacya kolejowa, sąd powiatowy, urząd pocztowy, kościół rzym.-kat. szkoła polska, fabryka maszyn rolniczych i tartak parowy.

Gleba przeważnie czarnoziem i glinki urodzajne. Stoki południowe gruntów położono przy samem mieście.

Grunta orne i łąki po cenie 600 do 1200 K. za mórg

Zgłoszenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie a delegat Banku uprawniony do sprzedaży gruntów, każdego wtorku przyjeżdża na miejsce

Bliższych szczegółów informacyi udziela codziennie zarządca gospodarczy, który mieszka we dworze w Ottynii

POLNA

wieś w powiecie grybowskim, oddalona o 2 km od stacyi kolejowej Stróże. W Polnej znajduje się kościół parafialny i szkoła. Do nabycia grunta orne, łąk i około 200 morgów lasu. Na gruntach w Polnej udają się wszelkie gatunki zboża i roślin okopowych. Cena za grunta orne i łąki od 800 K. za mórg, cena za las od 600 K. za mórg.

Zgłoszenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie a delegat Banku uprawniony do odbioru pieniędzy, przeprowadza sprzedaż gruntów na miejscu we wtorki każdego tygodnia.

STADNIA

wieś w powiecie złoczowskim, 3 km. drogi od stacyi kolejowej Skwarzawa, gdzie jest polska szkoła i kościół rz.-kat. Przeznaczone do parcelacyi grunta są bardzo urodzajne, czarnoziem bogaty w próchnicę. Można nabyć tak grunta orne, jak łąki za cenę 600 do 800 K.

Zgłoszenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie, a na miejscu zarządca gospodarczy.

Wydawcy: Dr. Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Adolf Nowak.
Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie pod zarządem Adolfa Nowaka.

BIBLIOTHECA